Nr. 13. Kraków, 15 Listopada 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

FRAGMENT.

Czasem mi zda się, że to wszystko sen,
Przestrzeń mej myśli i cały świat ten,
Ziemia i błękit i światła w błękicie,
I bóstw idea władających skrycie.

Snem mi się zdaje Chrystusowy cień,
Snem noc zwątpienia, snem nadziei dzień,
Snem złe i dobre, snem śmierć i tworzenie,
Snem byt, snem nawet własne me istnienie.

A kędyś ocknąć mam się z tego snu,
Gdzie? kiedy?... niewiem, li wiem, że nie tu;
A tak się ocknąć mam, jak dziecko po śnie
Strasznym, co przez łzy śmieje się radośnie.

Gdzie? kiedy?... niewiem, ni wiem, co jest tam,
Kędy się ocknąć ze snu życia mam....
Zda mi się — — jasność wielka, nieprzejrzana,
W jasności jedność w jedno z nią współzlana.

Ach! Gdybyż nigdy nie rzucała mnie
Z myśli najlepsza, że ja tylko śnię,
Ze cała nędza życia jest zwodniczem
Widzeniem tylko, że wszystko jest niczem...

Kazimierz Tetmajer.

WYCHOWANIE i DZIEDZICZNOŚĆ.

Zainteresowanie się szerokiego koła uczonych oraz dramaturgów kwestyą dziedziczności, ze stanowiska jej wpływu na moralną i duchową organizacyę jednostek, skłania nas do zapoznania czytelników „Myśli“ z poglądami zgasłego przedwcześnie myśliciela francuskiego M. Guyau na stosunek wychowania do dziedziczności.

Książkę o tym przedmiocie przyswoił naszemu piśmiennictwu redaktor „Głosu“ p. J. K. Potocki.

Nim przejdziemy do wykładu poglądów Guyau na kwestyę wychowania, niech nam wolno będzie powiedzieć słów parę o ogólnym charakterze jego nauki. Główną ideą, którą rozwijał on nader konsekwentnie we wszystkich swych pracach, jest idea *życia*, życia najbardziej intensywnego, najbardziej płodnego, najbardziej wszechstronnego. Według niego, działać — to żyć. Bezczynność z tego punktu widzenia staje się największym występkiem. Człowiek, jako istota przedewszystkiem społeczna, nie wystarcza jednak sam sobie; żyjąc w społeczeństwach, znajduje się on w ciągłem obcowaniu z otoczeniem. Otóż Guyau stara się właśnie wyjaśnić i rozwinąć tę społeczną stronę natury ludzkiej, tak uporczywie ignorowaną przez materyalistów i utylitarystów. Czem bardziej intensywnem i świadomem swych celów jest własne życie nasze, tem większą i ważniejszą rolę odegrywa w niem ów pierwiastek społeczny; rola ta wzrasta więc nieustannie, w miarę umysłowego i moralnego rozwoju ludzkości. Oto podstawowa idea Guyau, którą rozwijał on wytrwale w sferze estetyki, moralności i religii. Ostatnią zaś pracę swą poświęca on kwestyi najbardziej umiejętnego wdrożenia tych ideałów młodym pokoleniom. Od nas zależy kierunek ich wychowania i rozwoju, od nas więc też niejako zależy przyszłość. Jakże opacznie i jednostronnie wobec tego traktuje ogół to zadanie! Pod słowem „wychowanie“ większość pojmuje li tylko wykształcenie umysłowe, nie dbając zupełnie prawie o stronę moralną i fizyczną. Jaki jest ideał moralności, zapytuje autor, stawiany najczęściej dzieciom wśród rodziny? Nie hałasować zbytnio, nie kłaść palców do noska lub buzi, nie używać do jedzenia rąk zamiast widelców, itp. W rezultacie pod wpływem takiego wychowania wyrastają pokolenia, których ideał moralny nie przekracza prawie tych granic. Zapatrując się na pedagogię, jako na sztukę, a raczej umiejętność przystosowywania nowych pokoleń do warunków życia najbardziej płodnego, najbardziej korzystnego jak dla jednostki, tak i dla ogółu, Guyau widzi w wychowaniu cel dwojaki: osobisty i społeczny. Powinno ono dążyć do tworzenia ludzi, którzy, oddając się z jednej strony pewnemu pożytecznemu dla społeczeństwa fachowi, z drugiej znów biorą świadomy udział w życiu tego społeczeństwa. Jednym z pierwszych warunków jest tu powstrzymywanie i usuwanie od dzieciństwa instynktów szkodliwych, antispołecznych, zakłócających fizyczną i duchową równowagę jednostki.

Czy jednak wychowanie jest w stanie wykorzenić lub przynajmniej osłabić te instynkta, czy w ogóle może ono wpływać na wytworzenie moralnego charakteru człowieka? Oto kwestya, którą stawia, a raczej wznawia Guyau, nie zgadzając się pod tym względem z panującemi obecnie poglądami. Jeśli w zeszłym wieku wychowaniu przypisywano wyłączny prawie wpływ na uformowanie charakteru człowieka, sądząc, iż sam przez się od natury jest on niejako *tabula rasa*, dzisiaj, pod wpływem badań nad dziedzicznością, w nauce rozpowszechniło się wręcz przeciwne a graniczące z fatalizmem przekonanie, iż moralne przeznaczenie przyszłego człowieka rozstrzyga się już w łonie matki: przychodzi on na świat zbrodniarzem tak samo, jak rodzi się poetą. Teorya ta, opierająca się na badaniach wielu powag naukowych (Ribot, Féré, Lombroso, Garofalo i innych), jest obecnie panującą, wywołując jednocześnie trudny do roz-

strzygnięcia dilemat co do władzy wychowania z jednej, a siły dziedziczności z drugiej strony.

Zastosowanie w ostatnich czasach suggestyi do pedagogiki wprowadza tę sporną kwestyę na nowe tory. Doświadczenia, dokonane przez specyalistów, pozwalają stwierdzić *de facto* możność wykorzenienia instynktów niemoralnych i zaszczepiania natomiast w umyśle osobnika nowych, a pożądanych uczuć i instynktów. Jest to niezaprzeczenie nowa potęga w dziedzinie pedagogiki, wobec której ustąpić musi nawet fatalna siła dziedziczności. Otóż Guyau był jednym z pierwszych, którzy zajęli się tą kwestyą; hypotetyczne twierdzenia jego, wypowiedziane przed ośmiu laty w miesięczniku „*Revue philosophique*“, a które wówczas wydawały się niezwykle śmiałemi, zostały stwierdzone całym szeregiem badań, dokonanych przez doktorów: Delboeuf'a, Bernheima, Liébault'a, Voisin'a i Bérillon'a. Dowiodły one, iż drogą suggestyi można poddać osobnikowi sztuczne instynkta moralne, obudzać w nim uczucia sympatyi, litości i t. p., dochodząc do wytworzenia prawdziwych obowiązków sztucznych. Sprawozdania lekarzy najlepiej to potwierdzają: dr. Voisin z Salpêtrière drogą poddawań 22-letnią Joannę Sch., złodziejkę, prostytutkę, niechlujną i leniwą, przeobraził w osobę posłuszną, uległą, uczciwą i pracowitą. Zaznaczamy, iż jest to jeden z bardzo wielu przytaczanych przezeń przykładów. Dr. Delboeuf, który peryodycznie ogłasza rezultaty swych badań w tym względzie, zaproponował niedawno stosowanie suggestyi w koloniach małoletnich przestępców. Kwestya ta jednak wywołała ożywioną polemikę wśród lekarzy i psychologów paryskich, za pobudkę do której posłużyło też ukazanie się jednocześnie broszury dra Bérillon'a: „O suggestyi ze stanowiska pedagogicznego“. Głównie powstawał przeciw niej dr. Blum, dowodząc, iż „wychowanie nie powinno robić z człowieka maszyny“ i wymagając poszanowania osobowości każdego indywiduum. Wskazywał on też na możebność wielu nadużyć, a także niebezpieczeństwo, — które zaledwie mimochodem i dość naiwnie zaznacza Guyau — sztucznego wytwarzania neuropatów. Słusznie więc wymagał on, iżby suggestya stosowaną była w wyjątkowych razach dla przeobrażenia natur ujemnych wówczas tylko, gdy wszelkie inne środki okazały się bezskutecznemi.

Możemy tu zaznaczyć, iż cała teorya dziedziczności psychologicznej opiera się wyłącznie niemal na faktach, świadczących o dziedziczeniu instynktów i skłonności chorobliwych i niemoralnych; jestto, jednem słowem, patologia moralna, której nie należy stosować w kwestyach ogólnych, normalnych, gdy się ma na widoku nie pewne zboczenia, lecz głównie równowagę wszelkich czynników moralnych. Przecenianie zaś roli dziedziczności w procesie formacyi moralnego charakteru człowieka doprowadza tak oględnego nawet pisarza, jak Spencer, do utrzymywania, iż „wiara w siłę i skuteczność wychowania jest jednym z przesądów naszej epoki.“ Otóż Guyau występuje zasadniczo przeciw temu zdaniu Spencera, a wierząc niezachwianie w siłę i skuteczność wychowania, pragnie wyznaczyć przytem prawidłowy jego kierunek. Na pierwszym planie stawia on kwestyę moralną. Umoralnienie jednostki stanowi jedno z głównych zadań wychowania, i to właśnie stawia je nieskończenie wyżej od tak zwanego wykształcenia, ignorującego całkiem ową stronę moralną. W tej sferze wpływ wychowania niezbędnym jest tembardziej obecnie, gdy coraz bardziej słabnie wpływ religij, które do pewnego stopnia umoralniały ludy. Podobnież i ze stanowiska ściśle biologicznego moralność rasy i jej strona fizyczna jest nierównie ważniejszą od jej stanu intelektualnego.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad dwoma pierwszemi rozdziałami pracy M. Guyau dlatego głównie, iż tworzą one niejako ogólną część dzieła, wówczas, gdy pozostałe rozdziały stanowią właściwie część specyalną, mającą głównie na względzie Francyę i jej stosunki szkolne. I tu bezspornie znajdzie czytelnik wiele cennych uwag i wiadomości, dla nas jednak mają one wartość drugorzędną. Możemy tylko zaznaczyć jeszcze, iż cała prasa przesiąknięta jest tym zdrowym umoralniającym optymizmem, który stanowił charakterystyczną cechę światopoglądu przedwcześnie zgasłego M. Guyau: — wierzył on głęboko, iż sama przez się „natura człowieka dobrą jest“. Optymizm ten głównie daje prawo zaliczania go do rzędu owych „poetów socyologicznych“, o których powiada, iż „w niektórych zwłaszcza chwilach życia pociągają nas oni nawet błędami swemi“.

POTĘGA ZIEMI W POWIEŚCI WSPÓŁCZESNEJ.

IV.

(Dokończenie).

Zastanawiając się głębiej nad tem zagadkowem zjawiskiem, autor dochodzi wreszcie do wykrycia tej wielkiej prawdy, że właściwą treścią życia ludu rosyjskiego, właściwą siłą ożywczą, która trzymała go w przeszłości pośród najcięższych warunków, jest potęga ziemi, niemożliwość nieposłuszeństwa jej przykazaniom, które panują nad rozumem i sumieniem ludu, napełniają całe jego istnienie. Oderwijcie chłopa od ziemi, od tych trosk, jakie ona na niego nakłada, od tych interesów, którymi ona go trwoży, dopnijcie tego, by on zapomniał o swem chłopstwie — i niema narodu, niema narodowego światopoglądu, niema tego ciepła, które idzie od niego. Pozostanie tylko pusty aparat prostego organizmu ludzkiego. Nastanie próżnia w duszy, „zupełna wolność“, to jest niezbadana pusta przestrzeń, bezgraniczny pusty obszar, straszne „idź dokąd chcesz“. U rolnika niema kroku, niema ruchu, niema myśli, któreby nie odnosiły się do ziemi. On cały w niewoli u tej trawki zielonej. Do takiego stopnia on nie może oderwać się z pod jarzma tej potęgi, że gdy mu mówią: co wolisz, więzienia czy rózgi? on zawsze wybierze rózgi, woli przecierpieć ból fizyczny, byle tylko jak najprędzej być wolnym, bo jego pan — ziemia nie czeka: trzeba kosić, siano potrzebne dla bydła, bydło potrzebne dla ziemi. Lecz właśnie w tej nieustannej zależności, w tej masie ciężaru, pod którą człowiek sam przez się nawet ruszyć się nie może, spoczywa właśnie niezwykła łatwość istnienia. Ziemia lubi chłopa. Ona wzięła go w ręce całego, i on nie odpowiada za nic, za żaden swój krok. Skoro tylko on czyni tak, jak mu nakazuje jego władczyni — ziemia, to on za nic nie odpowiada. On zabił człowieka, który skradł mu konia — i nie winien, bo bez konia nie można dostąpić do ziemi. U niego pomarły dzieci — i znowu on nie winien: nie zarodziła ziemia, nie było czem hodować. On wpędził do grobu swą żonę — i nie winien — głupia była, nie gospodarna, leniwa, przez nią stanęła robota. A władczyni ziemia wymaga roboty, nie czeka. Jednem słowem, jeżeli tylko on słucha tego, co mu nakazuje ziemia — on nie winien nic. A przedewszystkiem cóż to za szczęście nie wymyślać sobie życia, nie wyszukiwać interesów i wrażeń, kiedy one same przychodzą do siebie co dnia, skoro tylko oczy otworzysz. Za nic nie odpowiadając, niczego nie wymyślając, żyje człowiek w samem tylko posłuszeństwie i to chwilowe posłuszeństwo, przetwarzane w chwilową pracę, stanowi życie, które na pozór niema żadnego widomego rezultatu (co wyrobią, to i zjedzą), ale którego rezultat leży właśnie w niem samem. Dalszą zaletą życia rolniczego jest jego jednolitość. Człowiek inteligentny pracuje w biurze nad rzeczami które go w gruncie rzeczy nic nie obchodzą, o czem innem gada ze stronami, o czem innem z żoną, o czem innem w klubie, a o czem innem w salonie lub w teatrze. Jemu potrzebny gabinet dla siebie, salon dla towarzystwa, pokój dla dzieci. Dla chłopa rolnika potrzebna tylko jedna izba, bo u niego wszyscy żyją jednem — ziemią,

robią jedno — pracę rolniczą, mówią i czynią jedno — to co każe matka ziemia. Ziemia potrzebną jest dla narodu, nie tylko jako chleb — chleb można zarobić i w mieście — ale jako podstawa całej jasnej przyszłości narodu i jako podstawa jedynie bezgrzesznej pracy, jako źródło takich stosunków ludzkich, które oprzeć się muszą na dobrowolnem posłuszeństwie człowieka człowiekowi, stosunków, które najmniej pola dają samowoli ludzkiej wobec ogólnego i nieuniknionego posłuszeństwa wszystkich wobec nieprzepartej, niezwyciężonej potęgi ziemi.

Słowa te, zdaniem mojem, najlepiej streszczają pogląd Uspieńskiego na potęgę ziemi. Jak widzimy, pogląd ten jest wręcz sprzeczny z poglądem Zoli. Autor francuski widzi w potędze ziemi jarzmo, które gnie człowieka i pośród najpostępowszego kraju XIX w. utrzymuje go na stopniu dzikości. Autor rosyjski natomiast w tej potędze ziemi nad swym ludem rolniczym widzi najlepszą gwarancyę jego przyszłości, pracę rolniczą uważa za jedynie bezgrzeszną, różnostronną, rozumną i szlachetną. Niemasz takiej pracy, którąby tak zupełnie i bezpośrednio, a przytem każdej chwili w całym bycie codziennym zależała od przyrody, jak praca rolnicza. A w ustroju życia, podlegającego prawom przyrody, niewątpliwą i szczególnie czarującą jest ta p r a w d a (nie znaczy to sprawiedliwość), jaką oświetlony jest w niem każdy najdrobniejszy szczegół życiowy. Tu wszystko robi się, myśli się tak, że nawet przedstawić sobie nie można, by mogło robić się inaczej przy tych warunkach. Kłamstwa, wymysłów, chytrości tutaj niema — ziemi, wiatru, słońca ani deszczu oszukać nie można, — a więc niema fałszu i w całem życiu.

Ale chociaż w przyrodzie wszystko jest prawdziwe, to przecież nie wszystko w niej jest sprawiedliwe a tem mniej łaskawe. Walka o byt toczy się w niej z dziką bezwzględnością. — Taka walka o byt należy też do przykazań przyrody, — toczy się ona i we wsi i płodzi najrozmaitsze okrucieństwa, ciemiężenia i krzywdy. Niestety, tutaj łamie się jednolitość i logiczność rozumowań Uspieńskiego. Ideał życia pod władzą potęgi ziemi okazuje się w znacznej mierze sprzecznym z ideałem życia prawdziwie ludzkiego. By załatać tę jamę, Uspieński bąka coś niejasno o odwiecznej inteligencyi ludowej, która ciągle była między ludem, w formie czy to mnichów i księży, czy specyalnie moskiewskich ascetów ludowych, podróżników i jurodiwych, i której jedynem zadaniem było głoszenie zasad wyższej, chrześciańskiej, prawdziwie ludzkiej moralności. Niestety, argument ten nie wytrzymuje krytyki, gdyż taka inteligencya ludowa w części jest fikcyą, a w części wcale nie inteligencyą i w ogóle nigdy nie była zdolną poprowadzić lud dokądkolwiek, bo i sama zazwyczaj nie wiedziała, dokąd dąży. Czuje to i Uspieński i dodaje jeszcze słabszy argument mówiąc, że ta sama inteligencya ludowa zaprowadziła przed 900 laty na Rusi chrześciaństwo, które wówczas było ostatnim wyrazem ludzkiej wiedzy i ludzkiego rozwoju etycznego.

Porównanie utworu Uspieńskiego z utworem Zoli streścić można w krótkich wyrazach. Utwór Zoli jest arcydziełem artystycznem, utwór pisarza rosyjskiego niema prawie żadnej artystycznej wartości. Co się zaś tyczy zasadniczych poglądów na życie chłopskie, to w tym względzie oba utwory zarówno nie mogą nas zadowolnić. Zola patrzy na chłopów wzrokiem burżua, mieszczanina. Podpatrzył on z podziwu godną bystrością hygieniczne szczegóły jego życia i bytu, jego mówienia i czynów, ale nie wniknął w głąb duszy chłopskiej. To życie, jakie on wymalował, wydaje nam się wprost niemożliwem dla żywych i myślących istot; czujemy, że genialny obserwator tu właśnie coś pominął, czegoś nie dostrzegł, i że to właśnie jest najważniejszem, jest tem, co trzyma ludzi na świecie i przy kupie. Z interesów czysto ludzkich, towarzyskich i sąsiedzkich, miłości, przyjaźni, bezinteresownej radości u chłopów Zoli nie widzimy wcale. Nie mają oni w sobie ani skry poezyi, nie mają swych pieśni ani opowieści, a jeżeli śpiewają, to śpiewają, zdaniem Zoli, sentymentalne romanse z XVIII wieku, które kiedyś śpiewali panowie. I tu właśnie genialny autor francuski dowiódł, że nie zupełnie wniknął w duszę chłopską i że sąd jego o chłopach musi być błędny i niesłuszny. Istnienie ogromnie bogatej i nieraz cudownie pięknej francuskiej poezyi ludowej, istnienie mnóstwa nader poetycznych zwyczajów i obrzędów ludowych dowodzi, że u tych chłopów jest dusza, wybiegająca w jasnych momentach po za granice potęgi ziemi w sfery wyższych, idealniejszych dążności.

Pogląd Uspieńskiego jest poglądem rosyjskich narodników, tj. ludzi, którzy, zbrzydziwszy sobie cywilizacyę europejską, upatrują jedyne zbawienie w chłopie, w ciemnej masie ludowej, idealizują tę masę nieraz nawet z jej przywarami, upatrując w każdym czynie, w każdem słowie chłopa jakieś głębsze, mistyczne znaczenie. Niechęć do cywilizacyi europejskiej objawia się w utworach Uspieńskiego nieraz i to dość wyraźnie, chociaż czasem maskowana jest w ten sposób, że autor mówi o tej cywilizacyi jako o burżuazyjnej, antyludowej. Ostatecznie jednak widzimy we „Własti zemli“ pewną dwoistość poglądu: z jednej strony życie chłopskie pod władzą potęgi ziemi jest najlepsze, najrozumniejsze, jednolite, ale z drugiej strony autor sam musi przyznać, że są w niem bardzo ważne braki, wymagające jakiejś korektury. My jednak ze swej strony musimy dodać, że i te właściwości życia chłopskiego, w których Uspieński widzi jego idealną stronę, jego jednolitość, prostotę i naturalność, uważać musimy w znacznej części za braki — brak potrzeb fizycznych i umysłowych, ociężałość myślenia i nierozwinięcie uczuć. Wszystko to są rzeczy wprost sprzeczne z ideałem człowieczeństwa cywilizowanego. Co więcej, nam się zdaje, że Uspieński, zarówno jak i Zola, obserwując życie chłopskie z punktu widzenia swych narodowych doktryn, pominął w niem niektóre rysy bardzo ważne i wskutek tego doszedł do fałszywych rezultatów.

MARYA KONOPNICKA

STUDYUM

PRZEZ

WILĘ ZYNDRAM-KOŚCIAŁKOWSKĄ.

(Ciąg dalszy).

Wiek to niewątpliwie pozytywny. Ze starych systematów zwycięzko wychodzą te, które, opatrzone zarodkiem trwania, opierają się na podstawach nauk ścisłych. Spekulacye oderwane, nie wiążące się z pozytywnemi danemi, tak jak wszelkie przesądzania apriorystyczne, zostały wymazane z rachunków naszego wieku. Doświadczenie zostało jedynym uznanym probierzem. Gdzie się ta norma zastosować nie daje, kwestye odkładają się *ad acta*, przekazują przyszłości, zaopatrzone w znak zapytania i otwartą rubrykę.

Wiek to przemysłu. Przemysł górą wszędzie. Składają się nań zarówno: mrówcza skrzętność i szeroka rozrzutność. Przepych i zbytek ocierają się o pracę i nędzę, a starcie tem jest widoczniejsze, że opadły niegdyś nędzę przysłaniające osłony i w gruzach legły graniczne kastowe kopce.

Wiek to równości — teoretycznej przynajmniej. Demokratyczny w najgłębszych społecznych załomach; brzydzi się przywilejem i w zasadzie samą odznacza zasługę. Nazwano go materyalnym, gdyż pieniądz i siła są uznaną przezeń dźwignią. We wszystko wgląda, w każdą społeczną i filozoficzną rozpadlinę zapuszcza sądę badania; wszystko, od podstaw, wzmacnia lub przerabia.

Tam gdzie się tyle krzyżuje prądów, tyle zbiega ujść i źródeł; gdzie nie ma sprawy nie powołanej przed sąd ogółu; gdzie rozwielmożniona prasa trąbi na wsze strony głosem niezmordowanego, stugębnego Muezena; gdzie nie ma zakątka bytu, dziejów, sumienia nieprzewertowanego stokrotnie; gdzie myśl na wszelkie targa się osłony, a doświadczenie wszystkiego dotyka, wątpliwość same znaki zapytania stawia; tam, z natury rzeczy, mnogie wywiązują się hipotezy. Wiek zatem pozytywnej wiedzy jest zarazem wiekiem najśmielszych przypuszczeń i najryzykowniejszych eksperymentów. Na wszystkich drogach czynu i abstrakcyi, posuwa się z właściwą sobie przedsiębiorczością, skąpych wymiarów nie zna i wiek, który w zasadzie, jako sił trwonienie, neguje bezpłodne ofiary, jest zarazem wiekiem najofiarniejszym. Wiek rozwagi jest zapału wiekiem!

Takie są prądy naszego wieku. Te, co w czasów trwaniu, po nad ludzkością górą płyną, wyższe i lotne porywając duchy. Dołem nurtują prądy inne, od tamtych różne tem wszystkiem, czem rzeczy niskie i płaskie różnią się od wzniosłych. To też bywa, że nawet od tamtych górnych, tęczowych, promiennych pochodne strumienie, u dołu pienią się mętne, rozbijające się o tamy przesądu, utykając w złej wiary sieci, fanatyzmu mrokach. Pomiędzy temi dwoma prądami ustawiczne zachodzą kolizye i nieraz te same co wzbijając się w górę zostają: wiedzą, tęsknotą, zapałem, miłością, poświęceniem; w poziomych nurtach przeistaczają się: w nieuctwo i zabobon, próżność i odętość, zawiść i obłudę, cynizm i apatyę. Zadaniem poezyi zostać łącznicą dwóch tych prądów: u dołu chwytać każdy jęk bólu, krzyk stłumionego oburzenia, każde najcichszej tęsknoty westchnienie w górę wzbijać, rozdzwaniać — a blaski prawdy i nadziei tęcze z góry w dół ściągać, po padołach rozścielać.

Najwybitniejszą cechą naszego stulecia jest wielki smutek przez płytkie umysły za grzech poczytany i „pesymizmem" nazwany. Czyżby go raczej współczuciem nie ochrzcić? Smutek ten omracza i to, co wiekowi naszemu za niedowiarstwo poczytywanem bywa a co jest jeno bolesnem swej niemocy zeznaniem. Dźwięczy on w palących pytaniach, które wiek nasz ciska w przeszłość i przyszłości stawia. Drży w spojrzeniach, wlepionych w sfinksowe bytu zagadki, w ramionach wyciągających się do wszech boleści, w sercach otwartych na wszystkie nadzieje.

Przeszłość badana i przyszłość niewyjaśniona jeszcze; cmentarze i pobojowiska, piętrzące się na polu walk politycznych, społecznych, filozoficznych; przy każdym szańcu postępu bój zażarty wówczas nawet gdy głuchy; łamanie się świateł i cieni; konwulsye przeobrażeń, wszystko to nastraja dramatycznie i lirycznie lutnię naszego wieku. Byle te struny rozpiąć, powiązać z kanwą przyrody i wszech ludzkich podstawowych wzruszeń, a ze splątanej talentem przędzy wysnute pamiątki, tęsknoty, nadzieje perłami natchnienia i melodyi wsypać w klepsydrę czasu. Byle o czarodziejskie potrącić struny, a będziemy mieli ton, co tętnem jest stuleci.

III.

W pierwszem już odezwaniu się pani Maryi Konopnickiej było wszystko, co znamionuje talent i to talent wysokiego pokroju. Pozwolę tu sobie własne zanotować wrażenie. Już od 1877 r. „Tygodnik Ilustrowany", „Kłosy", „Bluszcz" przynosiły wprawdzie czytelnikom próbki poetyckich wzlotów mało jeszcze znanej wieszczki, lecz wyznaję, że imię jej obce mi było, gdy w początkach 1881 roku pani Orzeszkowa, nie mogąc podołać nowo rozpoczętej w Wilnie wydawniczej pracy, wręczyła mi do przejrzenia rękopism. „Zobacz, mówiła, czy to czytać warto". Zrobiło mi się ckliwo. Poezye! Od roku, od otworzenia w Wilnie, przez Orzeszkową, krótko, niestety, tam trwałej księgarni i wydawnictwa, tyle napływało wierszowanych rękopismów, jakoby pseudo poezya zalać miała Litwę całą. Tyle tam było, zwłasza kobiecemi podpisywanych imiony, bredni i pretensyi, tyle „zmarnowanego czasu i papieru", że, wyznaję, niechętnie zabrałam się do czytania „Fragmentów z przeszłości". I pamiętam, jak na pierwszych już stronnicach „Hypatyi" drgnęło we mnie coś, co odrazu spłoszyło znudzenie, przykuło uwagę, pociągnęło, uniosło. Olśniło mię, oczarowało nagłe, niespodziane objawienie.... najświetniejszej rzeczy pod słońcem — bo talentu. Osadnik kalifornijski, gdy, po długich, daremnych poszukiwaniach, śród pyłu i piasku, natrafia na żyłę złotą, czuć musi tak, jak czułam w tej chwili: olbrzymie zadowolenie i niezrównaną, niczem nie dającą się zaćmić lub podkopać rozkosz, sprawioną przez piękno i tę przez uczucia rodzinne zahaczającą pociechę, że owo piękno na naszym rodzinnym gruncie, dla nas rozkwitać będzie, dla nas owoce wyda. Wzruszenie to, nie dające się na razie określić, jest niewątpliwą miarą artystycznej wartości dzieła. Sądzę, że nietylko inteligentny czytelnik lecz i najpoważniejszy chyba krytyk nie innego używa probierza? Pięknem jest niewątpliwie to co wzrusza, im głębiej wzrusza tem piękniejszem, tem niezawodniej piętnem talentu oznaczone. Wysnuwać motywy tego wzruszenia jest dopiero krytyki zadaniem. Na razie czułam się jednostką oderwaną od tego „miliona serc", które pieśń pani Konopnickiej wzruszyć miała. Dziś dopiero, zmuszona wzruszenie rozwadze podporządkowywać, „Fragmenta" odkładam na potem, by wniknąć w to, co dla czytelników, nie olśnionych od razu i niespodziewanie „Fragmentami" — było już przed tem zadatkiem talentu początkującej poetki. Cofam się wstecz i widzę, że wdzięk pomysłu, niepospolity poetyczny polot, bogactwo szczęśliwych porównań, wzruszenie szczere, giętkość języka i piękność melodyjna wiersza cechowały już „Romans Wiosenny" („Tyg. Ilustr." 1877) zbyt może przypominający „W Szwajcaryi". Naśladownictwo to zresztą musiało być mimowolne, z naczytania się a może raczej ze szczególnego rozmiłowania w poecie, pokrewnym poetycką formą, gdyż w tymże samym roku drukowane w „Bluszczu" i w „Kłosach" wiersze ulotne, posiadają niepospolite piętno indywidualności poetyckiej, wniknięcie w przyrodę i wielką rzewność obok wielkiej świeżości, bijącej zwłaszcza od wytwornie lekkich „Ech majowych".

„Białe, giętkie ramiona
Jak ta brzózka szemrząca
Wznieść bym chciała stęskniona
Do srebrnego miesiąca,
Lub z gałązką chmielową
Objąć drzewo miłośnie,
Z przytuloną doń głową
Marzyć cicho o wiośnie".

Piosnki to iście ptasie, słowicze, o miedzę wytworności graniczące z piosenką ludową. Wkrótce dostroją się one do tej tęsknoty, co, niby nić pajęcza, ścięte rżysko i łąki rosą ubrylantowane wiąże ze słowa promieniem. Poetce, zapatrzonej w „senne białe róże", w „srebrzyste miesiąca plamy", w białe wodne lilie, przypominają się bracia:

„Przegięci w trudzie,
Od troski słabi, od smutku bieli".

chciałaby podzielić się z niemi krzepiącemi wrażeniami wiosny, chciałaby posłać im wszystkie ptasząt śpiewy. Wzruszenie dostraja ją do filozoficznej nuty. Gdyby słonkiem była, świeciłaby „w zimne piersi ciasne", na czoła kamienne, ocuciłaby duchy martwe.

Ten sam charakter mają „Ostatnie piosenki". Z uciekającem latem poetkę zdejmuje smutek, zamiera ze zwiędłą różą

„Z gniazdkiem zburzonem chwieje się i żali,
Z tumanem liści przepada w oddali".

W drugiej z rzędu z tych piosnek, najwdzięczniejszej może pod względem formy, rozżala się z gwiazdką, że „w nocy świeci“, z piosnką, że „w przepaść leci“. Każe gwiazdce błagać lazury, by ją jako łzę uroniły, piosnce prosić ptaszki, by ją o świcie nad czarną pochwyciły ziemią. Skrzydła wieszczki rosną też i do coraz wyższych, śmielszych roztaczają lotów. Z nad błękitów jeziora nęci ją przestrzeń, przyzywa ją burza:

„Niechaj polecę jak ptak uskrzydlony
Niech się rozpłynę w przestrzeni“!

Cóż, kiedy przez poezyę uskrzydlone, panteizmem przepełnione serca, rozpłynąć się nie mogą, bo zarzewia zwątpień wieku tleją w piersiach, szukających ochłody w „traw fali“. Rozterką myśli i uczuć zwarzone czoło poetka kłoni do spoczyku:

„Niech będzie cisza, niech mnie nikt nie woła,
Niech ja zapomnę, że nademną ciężą
Minione wieki posępną żałobą.
Niech mnie ustawy, niech prawa nie wiążą.
O niech zapomnę, że muszę być sobą“.

Padł na nią cień wieków przeszłych i nad kwiatami rozbujaną ściągnęły kajdany praw i ustaw! Sobą nawet być już nie chce! Z właściwym sobie liryzmem, w którego ton pełny teraz dopiero wpada, prosi srebrzyste chmurki, by jej przysłaniały oczy, ciszę stepową, by zgłuszyła rozdźwięki. Ciasno jej, ciemno. Światła, woła! przestrzeni! Chce lecieć „do Boga, do słońca“! a nie wie, w którą tu na ziemi zwrócić się stronę? gdzie się udać? Szuka swego „domu“ i nie wie, gdzie spocznie duch jej zwątpieniem rozłamany, omdlewający ze smutku.

„W błękitną dal wędrowny ptak odlata.
W głębinę wód samotna łódź wypływa...
Ach! mamże ja tak zawsze wpośród świata
Zbłąkana żyć, jak cień co nie spoczywa“.

W powstałem w duszy zamęcie wątpi o szczęściu i pyta, czem ona jest właściwie: wspomnieniem, tęsknotą, złudzeniem, spokojem, nadzieją? Na zapytania zadawalniającej nie otrzymując odpowiedzi, w graniczącą z rozpaczą wpada boleść.

„Czem jesteś szczęście — mogiłą“.

Zrąb to niebezpieczny: negacya bytu. Gdyby to można, gdy serce z bólu obumiera, dosiąść skrzydła i „nie wrócić więcej“. Wprawdzie w bólu skrzydła wyrastają czasem aż do samego nieba, alež trzeba wracać tu, na ziemię, do życia, wówczas nawet, gdy się mogile odda najgorętsze swe ukochanie, całe osobiste szczęście. Wracać trzeba, tak chcą prawa przyrody. W czemże skrwawione omyć serce?

W morzu bez końca: ludzkości.

Morze to porywa poetkę. Dopiero pytała, gdzie dom swój znajdzie i co pocznie, teraz o sobie zapomina, wzbija się wyżej o szersze zahacza strefy:

„Gdzie prawda ta, co chwyta bez podziału,
Gdzie przyszłość jest dla wszystkich walk i trudów?
Ach! gdzie jest cel krwi godny i zapału
I życia chwil i wielkich natchnień ludów“?

Oczywiście, tym celem mogiła być nie może. Bo jestże „tak cicha, pusta, zamarła“, którejby nie tknęła „ruchu wiecznego siła“. Takiej niema. Kiedyś, później, we „Fragmentach“, pani Konopnicka włoży w usta konającej Hypatyi słowa:

„Dejteros! dusza nigdy nie umiera!
Formy są zmienne, lecz idee wieczne!
I nad łez ziemią są światy słoneczne!...

lecz jeszcze nie doszła teraz do tej syntezy. Wie już wprawdzie, że każdą mogiłę okwieci wiosna. Ale wie i to, że wiosna „gubi kwiaty“, że się łamią jej „brylantowe strzały“, wie że sama młodość nie daje ludzkości tyle, ile dać winna: żaru, wytrwania, siły, tyle, żeby ludzkość „młodzieńczych chwyciwszy się duchów, powstała z mogiły“. (C. d. n.).

WOLNE MYŚLI

(FEJLETON).

XI.

Krakowskie „popieranie“ wydawnictw literackich. — Z wystawy sztuk pięknych. — Uregulowanie pisowni. — W sprawie stypendyów literackich. Z teatru.

Nikt chyba bardziej od nas nie nawołuje społeczeństwa galicyjskiego do popierania swojskich wydawnictw, a bezwzględnego odrzucania importowanych produktów literackich, które, na hańbę naszą, cieszą się dotąd niezasłużonem, a mimo to tak znacznem powodzeniem. Statystyczne dane o ilości galicyjskich prenumeratorów polakożerczych „Press“ i „Blattów“ oraz pism obrazkowych niemieckich, byłyby najlepszym probierzem tego, jak wspieramy ojczystą literaturę i rozbudzamy ducha narodowego.

Smutne te myśli nasuwają się nam dziś, z powodu artykułu pod tytułem: „Wydawnictwa polskie a obce“, zamieszczonego kilka dni temu w jednem z pism codziennych. Otóż, zdaje się nam, że dziennik ten, może bezwiednie, wyrządza wielką krzywdę literaturze naszej, a organom literackim w szczególności, sądząc objawy myśli polskiej, ze stanowiska iście parafiańskiego, z punktu widzenia handlu kramarskiego, w którym się tylko własny towar lub komisowy poleca.

W ten sposób nie popiera się wydawnictw, lecz rękawiczki lub cukierki.

Inteligentna publiczność wie, *„że wydanie lub wydawanie: polskiej książki, polskiego czasopisma i polskiego dziennika, jest niemal zawsze wielkiem, świętem i doniosłem poświęceniem, które nietylko uczcić, ale całą siłą popierać należy dla dobra powszechnego“* — i właśnie dlatego że wie, to nie pójdzie na lep frazesów, jakoby „Świat“ był „jedynym, uczciwie i wiernie sztuce polskiej służącym organem“. Taka reklama, podana w formie osobnego artykułu, upstrzonego fajerwerkami patryotycznemi, może tylko krzywdę wyrządzić „Światu“, a abonentów pewnie mu nie przysporzy.

Nadworny reklamista „Świata“, dla salwowania niby to swej bezstronności, (!) poleca również ogółowi z kramiku swego: „Przegląd polski“, „Przegląd powszechny“ i „Przewodnik naukowy“, a więc dwa organa, stale subwencyonowane i dodatek do „Gazety“ urzędowej. Trudno doprawdy o większy spryt kupiecki w handelku, zwanym „robieniem opinii publicznej“! Nic absolutnie przeciw „Światu“ nie mamy, przeciwnie złożyliśmy już dowody, że sami, bez wzajemności, popieramy to piękne pismo obrazkowe, ale uważamy sobie za obowiązek święty zaprotestować przeciw podobnemu pomiataniu wszystkiemi illustracyami i tygodnikami warszawskimi, których ostrzej smaga jeszcze bicz cenzury moskiewskiej, niż „Świat“. A więc „Tygodnik illustrowany“, „Wędrowiec“ i tygodniowe organa w Warszawie, już nie mają, zdaniem owego krytyka krakowskiego, żadnej wartości i nie zasługują na poparcie naszego społeczeństwa, ponieważ nie wychodzą z oficyn miejscowych drukarń? A więc to tylko fraszki, że organa te walczą nietylko o byt,

lecz o każdy wierszyk polski i są prześladowane za to, co cenzor znajduje między wierszami? Nie, panie krytyku! Tak oceniają sprawy literackie przekupki z placu Szczepańskiego. Nam trzeba innego kryteryum, nie zaściankowego, egoistyczno-handlarskiego, lecz prawdziwie polskiego!

* * *

(kt). „Morskie Oko“ p. Mroczkowskiego jest śliczne. Pora jest ranna, dzień pogodny, słońce prószy pyłem złocistym przez mgły na skały, na kosodrzewinę i jezioro. Woda ma ogromną prawdę tonu. Kto widział Morskie Oko w naturze, patrząc na obraz p. Mroczkowskiego, może się zamarzyć, zapamiętać.... Bardzo ładny jest także obraz p. Wodzinowskiego: „Marzenie artysty“, z oburzającą „nonszalancyą“, właściwą Dyrekcyi Towarzystwa sztuk pięknych, przechrzczony na „Sen na jawie“ czy coś podobnego. Przed oczyma artysty snuje się orszak mar z instrumentami muzycznymi, powiewnych, lotnych; obok orszaku starzec ze skrzypcami. Obraz może trochę niejasny, za mało tłómaczący się sam przez się, w każdym jednak razie znamionuje duży talent p. W., który ma już swoją ustaloną opinię.

O innych obrazach nowych powiemy później, teraz zaś zwrócimy tylko uwagę p. hrabiego Zygmunta Cieszkowskiego, że Matejce na imię jest Jan, Siemiradzkiemu Henryk, Brandtowi Józef, Chełmońskiemu także Józef, a Gierymskiemu Aleksander. To, że Gierymskiemu, którego cała zna Europa, na imię jest Aleksander, a nie Józef, jak to czytaliśmy na plakatach Towarzystwa, równie chyba pamiętać należy, jak to, że się jest hrabią, a nawet bardziej, ponieważ Gierymski nie jest Aleksandrem tylko *in partibus infidelium.*

* * *

(W). Uregulowanie zawiłej kwestyi ortografii polskiej stało się wreszcie jakby faktem dokonanym.

W styczniu r. b. rada szkolna przesłała Akademii „Projekt ortografii“, z prośbą o jego zbadanie i poczynienie odpowiednich zmian, a ewentualnie uzupełnień. Projekt ten, zbadany, i w niektórych punktach przez komisyę ortograficzną Akademii uzupełniony, przyszedł w sobotę na ostatniem posiedzeniu pod obrady członków instytucyi naukowej, a przyjęty przez nich zyskuje w ten sposób powagę, pozwalającą się spodziewać, że sprawa ujednostajnienia pisowni jest już bliską rozwiązania. Komisya Akademii, jak to wyraźnie w swem sprawozdaniu zaznacza, nie myślała o „radykalnej reformie, o obmyśleniu nowej pisowni, opartej na zasadach umiejętności języka“. Chodziło jej o to jedynie, „żeby ustalić pewne prawidła w niektórych kwestyach wątpliwych i usunąć w nich niejednostajność pisowni, czyli innemi słowami z dwóch lub kilku sposobów pisania, których używają obecnie w niektorych szczegółach pisowni, wybrać ten sposób, który jest najdogodniejszy i najbardziej rozpowszechniony. Dlatego też głównemi zasadami, któremi kierowała się komisya przy rozstrzyganiu wątpliwości, był wzgląd na tradycyę pisowni, na rozpowszechnienie pewnego sposobu pisania i dążenie do uniknięcia pewnych szkodliwych w praktyce niedogodności, n. p. wzgląd na rym i rytm w poezyi. Dopiero w drugim rzędzie rozstrzygały wymagania etymologii i fonetyki; tak więc wzięły górę względy praktyczne nad naukowemi. Rezultaty ważniejsze, które Akademia, na podstawie sprawozdania komisyi przyjęła, zestawiamy poniżej. 1) W bezokolicznikach od tematów na *g* pisze się *dz* a nie *c*, a więc: ledz, biedz, módz, zamiast: lec, biec, móc. Są to wprawdzie nieprawidłowości, sprzeczne z nauką, ale oparte na tak głęboko zakorzenionym zwyczaju, że dziś byłoby już trudno go usunąć. Próbowano „wyciąć te wrzody na ciele pisowni naszej“ za pomocą szkoły. Ale „gimnazyasta pisał „moc“ pod grozą złego stopnia, a nazajutz po maturze powracał z radością do *dz* w trybie bezokolicznym“. 2) Podobnież wbrew postulatom nauki przyjmuje się ze względów na rozpowszechnienie pisownię *l* w imiesłowach: starlszy, zjadlszy itp. 3) *é* uchwaliły Akademia zaniechać, a więc pisać: Andrzej, mleko, ulewa, cztery. 4) *x* zachowuje się jedynie w imionach własnych, zresztą należy usunąć je zupełnie, a więc pisać według brzmienia: kodeks, tekst, egzamin, egzemplarz. 3) *ge* pisać tylko w wyrazach, przyswojonych z łacińskiego i greckiego (geometrya, generał), oraz w imionach własnych (Gerwazy) zresztą wszędzie *gie* giełda. 6) Wyrazy spolszczone z łacińskiego *ia* pisać należy według tradycyi kilku wieków przez *ya* (po *c, d, r, e, t, z*), *ia* (po innych spółgłoskach, a więc: Francya, sympatya, dyabeł, Dania, Anglia. Zaleca więc teraz Akademia pisać, odstępując od swojej dotychczasowej ortografii: Marya, nie zas Maryja lub Marja. Wiadomo, że za tym ostatnim sposobem pisania oświadczyli się w ostatnim czasie filologowie warszawscy (Kryński. Karłowicz). Sposób przyjęty obecnie przez Akademię najlepiej odpowiada jednak względowi na rozpowszechnienie, a jako najelastyczniejszy najbardziej godzi się z różnym sposobem wymawiania tych słów. Co do wielu kwestyj spornych, Akademia na razie zdania nie uważała za stosowne wydać, uważając w nich raczej wątpliwość gramatyczną niż ortograficzną za źródło sporu (n. p. dobremi czy dobrymi dziećmi?“).

Ogłoszenie motywów powyższych uchwał Akademii nastąpić ma za miesiąc. Wówczas i my nie omieszkamy poświęcić tak ważnemu przedmiotowi osobnych uwag, które nam przyrzekł znany pisarz prof.: Roman Zawiliński.

* * *

(pr). Wie każdy, że *poeta nascitur.* Bez talentu nie można być ani kompozytorem dobrym, ani dobrym malarzem, można jednak nauczyć się komponować i malować do pewnego naturalnie stopnia mierności — tymczasem pisać, tworzyć piórem, tego się nie nauczy nikt, tego się nauczyć nie można.

Są więc akademie malarskie i konserwatorya muzyczne, niema jednak ani akademii, ani konserwatoryów poetyckich. Można „iść“ na malarza, czy muzyka, nie można „iść“ na autora. Ludzie o tem wiedzą i z tego wynika, że o ile malarze i muzycy według ich zdania potrzebują specyalnego, fachowego wykształcenia, o tyle autorowie, poeci (w prozie czy wierszu, bo to wszystko jedno), nie potrzebują go, bo jakże tu kształcić takich, na których „iść“ nie można? Ogół filisterski przypuszcza, że talent twórczy poetycki rozwija się sam przez się, nie istnieją bowiem żadne „szkoły“ ani „podręczniki“ poetyckie. Poeta nie może się nauczyć być poetą, jest nim, bo jest, i koniec. Dlatego o jego wykształcenie społeczeństwo niedba. Są stypendya dla malarzy i muzyków, dla wszelkiego rodzaju artystów; czy słyszał kto kiedy u nas o stypendyum dla artystów literatów? Czy słyszał kto kiedy, żeby u nas autorowi dało społeczeństwo potrzebny fundusz na podróż, na studya? Pojedzie ktoś za swoje, czy za pożyczone pieniądze w świat, odetchnie, rozejrzy się, w głowie mu się rozświeci — pisze lepiej. „Ach! jak mu dobrze ta podróż zrobiła! Jak mu talent zmężniał! Jak się rozwinął“! — mówią filistry. „Ileż społeczeństwo, literatura, zyskały na tej podróży!“ — mówi inteligencya. Ani ci jednak, ani tamci, nie przyczynili się w niczem, a w niczem do tego „rozwoju“, do tego „zysku“. O wykształcenie literatów niedba się zupełnie, dba się tylko o rezultaty ich pracy. Wymaga się od nich wiele, nie daje się im nic. Stypendyum dostanie badacz martwej literatury greckiej, lub szperacz po rękopismach z XVI czy XVII wieku w bibliotece jagiellońskiej — bardzo dobrze — śmiałby się jednak z pewnością cały wydział krajowy, gdyby zażądano odeń stypendyum dla kogoś, co chce tworzyć literaturę. Dziwna rzecz, więcej się świat zajmuje losem krytyków literackich, niż losem autorów. Nikt dla pięknych czyichś oczów stypendyum nie daje; ależ zażądać można świadectw talentu i pracy. Jeżeli ocenia się i mierzy talenta muzyczne i malarskie, dlaczegożby nie miało się oce-

niać i mierzyć talentów twórczych literackich? Przyznajecie, że im naród który literaturę ma potężniejszą, tem potężniejsze świadectwo daje swej żywotności, swej mocy duchowej — a czy wiecie, ile talentów literackich zmarnowało się przez brak środków na kształcenie się, ile się marnuje i zmarnuje? Naszem zdaniem, o stypendya przeznaczone dla artystów wszelkiego rodzaju, powinni mieć prawo ubiegania się i literaci-artyści, poeci czy prozaicy.

* * *

(b) P. St. Graybner, autor drukującej się w dodatku do naszego pisma powieści p. t.: „Mamin synek", ceniony dziś beletrysta, zaprezentował się nam ubiegłej soboty po raz pierwszy, w charakterze scenicznego pisarza. Próba udała się bardzo dobrze, co powinno p. Graybnera zachęcić do dalszej, obfitszej w tym kierunku działalności. „Słodka trucizna" jest zręczną i dowcipną farsą, którejby się nie powstydził żaden francuzki krotochwilarz. Fabuła, jak na farsę, wcale nie błaha, a co ją szlachetnie odróżnia od nadsekwańskich utworów tego rodzaju, to zupełny brak pieprznej przyprawy. Autor uplastycznił wydatnie w szlachcicu Owsikowskim (p. Siemaszko) typ obywatela całkowicie zwaryowanego na punkcie swych zdolności literackich. Człowiek bez wykształcenia, nie umiejący pisać gramatycznie, usiłuje przekonać swe otoczenie, że posiada wybitny talent dramatyczny. Tworzenie sztuki na jakiś konkurs warszawski absorbuje Owsikowskiego do tego stopnia, że biedna żona skazaną jest na pakty z żydami dla zaspokojenia wierzycieli. P. Graybner zręcznie zadzierzgnął intrygę, a szereg „qui pro quo" dobrze zaświadczył o zmyśle scenicznym autora. Widz do ostatniej sceny przypuszcza, że Owsikowski został rzeczywiście na konkursie wyróżniony, dopiero w rozwiązaniu okazuje się, że nagrodę otrzymał nie pan, lecz pani Owsikowska i to na wystawie inwentarza za... byczka holenderskiego.

„Słodkiej truciznie" zarzuciłbym przydługą ekspozycyę, która nuży słuchacza, specyalnie zaś trzeciemu aktowi, całkiem zbyteczną scenę płaczliwą w chwili, gdy papa sprzeciwia się małżeństwu córki. Sztukę grano dobrze. Na wyróżnienie zasłużyli: pp. Siemaszko, Ruszkowski i Śliwicki, oraz panie Wojnowska i Siennicka.

Na przyszłą sobotę zapowiada repertuar cztery oryginalne jednoaktówki, a mianowicie: „Kuzynka" Bałuckiego, „Schadzkę" i „Pierwszy bal" Z. Przybylskiego" oraz „Bonuś prezesem" Ryszarda Ruszkowskiego.

DLA JUTRA.

SZKIC ZAŚCIANKOWY.

Napisał

JÓZEF WAŚNIEWSKI.

(Ciąg dalszy).

Mama za to myślała w tej kwestyi za córkę; lubiła wizyty, z których najwięcej cieszyła ją zawsze wizyta hrabiego Alfreda, mieszkającego w sąsiedztwie i starannie ukrywającego datę swego urodzenia. Kto wie, czy hrabia Alfred nie był właśnie w jej planach pierwszym kandydatem na męża dla córki. Henrysia wszelakoż nie wiedziała jeszcze nic o tem, twierdziła tylko, że pan Alfred jest starym kawalerem, trochę za otyłym i niechętnie w wirowych tańcach udział bierze...

— Prawda pan Kazimierz — dodawała zaraz — także nierad tańczy, ale to co innego, pan Kazimierz taniec nazywa barbarzyństwem, ale bo też inaczej na świat patrzy. To zupełnie co innego, tamten poważny ciałem, ten duchem. Pani Aniela gdy była z córką sam na sam natychmiast jej przerywała.

— Moje dziecko, pan Alfred ma za sobą imię...

— A pan Kazimierz ma je przed sobą.

— Czy guwernerka mu je da, czy to ciągłe wałęsanie się między chłopami?

Henrysia nieumiała na to odpowiedzieć, spuszczała oczy i tłumiła w piersi westchnienie.

Przychodziły jej wtedy na myśl te wieczory księżycowe, kiedy z braćmi, biegającymi po ogrodzie i z panem Kazimierzem spacerowała wśród ciemnych szpalerów, lub na łodzi po środku sadzawki wsłuchiwała się w rytmiczny plusk wiosła...

— Prawda, jak tu uroczo — mówiła.

— I dobrze — dodawał pan Kazimierz — a gdyby jeszcze każdy człowiek mógł pojąć choćby taką poezję i odczuć ją inteligentnym duchem, byłoby na świecie jeszcze lepiej...

— Pan jesteś... jesteś... materyalistą... mówiła, nieznajdując lepszego określenia.

Pan Kazimierz jednak materyalistą nie był. Henryka wiedziała o tem, lubiła wszelakoż nie tylko słuchać jego gry na flecie, ale sprzeczki i polemiki lubiła, bo wydawał jej się miłym w towarzystwie młodym człowiekiem, innym niż inni, ukrywającym tylko pozornie skrzydła poetyckie swej duszy, na których chciała koniecznie widzieć go unoszącego się wysoko, wysoko tak, jak ona.

Jedyny to zresztą był człowiek, z którym dłużej mogła rozmawiać o ulubionym swoim przedmiocie. Nikt z okolicznej młodzieży o ten temat nie potrącał nigdy, każdy potakiwał jej we wszystkiem półsłówkami, kierując zawsze bladą, konwencyonalną gawędkę na zwykłe przedmioty codziennego, szarego życia. Ztąd zrodziła się w Henryce sympatya do nauczyciela jej braciszków.

Jedną miał tylko w jej oczach wadę. Nieraz gdy dusza dziewczęcia wznosiła się w rozmowie ponad prozę życia, ponad góry skaliste, nad obłoki, on, chłodnem słowem, niegrzecznie strącał ją z tych wyżyn i kazał chodzić po ziemi.

Nieznośny...

Ona przecież mogła go nawet pokochać, mógłby i on odwzajemnić się ściślejszym węzłem przyjaźni za przyjaźń, ale gdzież tam, nie zdradzał nigdy nic podobnego ani słowem, ani gestem, ani westchnieniem, ani nawet ócz spojrzeniem dłuższem, wymowniejszem...

— Zawsze kamień — mówiła dzisiaj spoglądając na przyniesiony przez niego kwarc żółtawy, pół przezroczysty... A westchnąwszy, położyła kamyk na swojej toaletce, poprawiła włosów, przeglądając się w lustrze i wyszła do drugiego pokoju...

— Jula! gdzie mama? — spytała nakrywającej stół rumianej dziewuchy...

— W pana pokoju, proszę panienki.

— A pan Kazimierz?

— U siebie z paniczem...

— Poproś że ich na kolację, a ja pójdę po mamę tylko herbatę zaparzę.

Pokoik pana Brzeszczota nosił cechę szkoły. Na środku stał stół obity ciemną ceratą, w rogu czerniła się drewniana na stalugach tablica, w kącie obok leżały książki na szerokich półkach. Trzy łóżka, stojące pod dwoma ścianami czyniły pokój ten tylko pół szkołą, a pół sypialnią. W tej chwili nauczyciel ze swymi pupilami siedział przy stole i gawędził. Wykładał im w sposób nader przystępny, oparty na zręcznej jakiejś przypowiastce z otaczającego ich życia — ekonomię polityczną. Malcy słuchali, oparłszy brody na łokciach, co chwila przerywając mu pytaniem. Z tematu tego przeszedł następnie na inny o doniosłości nauki, w ogóle cywilizacyi; o inteligencyi ducha, słowem nie kręcił się w ciasnem kółku elementarnego programu szkolnego, lecz kształcił i serca po

za oświecaniem młodych umysłów, urabiał ich dusze ojcowskiem wychowaniem, szczerze, serdecznie w prostych słowach, przemawiając do nich więcej jak przyjaciel, niż surowy pedagog.

Zaniedbane wychowanie synów przez matkę, znalazło w panu Kazimierzu uczciwego kierownika i opiekuna młodych paniczyków, którzy po za własnym bytem w przyszłości, dziś już widzieli byt innych i współczuli wszelkiej ludzkiej niedoli. Uczył on ich kochać tych maluczkich, wskazując żywe przykłady na biednych leszczynkowskich wieśniakach, a na każdy zarzut musiał znaleźć argument, tłómacząc chłopcom że i chłop posiada serce dobre, tylko trzeba je umieć oświecić i pokierować na właściwą drogę...

— Widzicie chłopcy — mówił — każda istota słaba, jeśli nie umie sama się dźwignąć z apatyi, powinna mieć wśród siebie silniejszych umysłowo kierowników, którzyby na ten grunt zdrowe rzucali ziarno... Dziwicie się wszyscy, a któż uczy pastucha czynić dobrze, kto mu otwiera oczy prawdą, ażeby widział świat we właściwych kolorach — nikt, dlatego są ludzie złej woli, którzy korzystają z tego naszego chłopka, obałamucają, ztąd też płynie jego pewna namiętność do dworu. Ale wy musicie to już rozumieć, nie jesteście dziećmi przecież; gdzie dwóch się różni z sobą zawsze trzeci nieproszony korzysta.

— Oni by i tak kradli... wtrącił starszy.

— Nie wierz w to Jasiu. Dziś kradną nie dlatego, żeby mieli być złymi z gruntu, tylko dlatego że ciemni i biedni, kradną naprzykład ojcu waszemu drzewo z lasu, bo swego lasu nie mają, a nikt ich nie zgromadzi i nie poradzi nikt, ażeby sobie lasu kawał kupili...

— Tak, to prawda...

I znów nastała chwila milczenia, którą przerwało wejście wiejskiej dziewczyny, oznajmiającej, że herbata już na stole...

Nim z dziecinną swobodą uczniowie pana Kazimierza zerwali się z miejsc, w innym pokoju państwo Ostronowscy zupełnie o czem innem wiedli z sobą rozmowę...

On siedział przy biurku rozparty w fotelu i puszczając kłęby dymu tlącego się cygara słuchał małżonki, wygodnie ułożonej w pół siedzącej postawie na pobliskiej kozetce...

Rozmowę ich przerwała Henryka.

— Herbata już gotowa.

Oboje rodzice spojrzeli na córkę. Po chwili matka odezwała się pierwsza.

— Wiesz, Heniu, namówiłam ojca i urządzi w przyszłym tygodniu polowanie.

— Tak?... dziwiła się Henryka.

— Które was nieubawi — wtrącił pan Ostronowski.

— Dlaczego? — przerwała małżonka — wszyscy przecież zjadą się wieczorem do nas, tylu młodych ludzi... I hrabia Alfred będzie — dodała zwracając się do córki.

— A co mnie on obchodzi, — odparła naiwnie — tyle co wszyscy...

— Nie mówię, żeby cię miał obchodzić, ale...

— To jedyny sąsiad, który się zna na koniach — przerwał pan Ostronowski, myśląc zapewne o swej stajni.

— Hi hi hi — zaśmiała się Henryka — a więc nie na ludziach, pyszny dowcip udał się ojczulkowi — mówiła, całując pieszczotliwie jego czoło. Ależ chodźmy na herbatę, chodźmy, stygnie, a nasza młodzież czeka głodna.

To mówiąc wybiegła, podskakując z pokoju.

— Dziecko jeszcze ta Henia, dziecko — mówił ojciec podnosząc się z siedzenia.

— Dwudziesty pierwszy rok zaczęła — odrzekła tajemniczo pani Aniela — hrabia ma na nią oczko... podoba mu się.

— Komuż się nie spodoba...

— Tak, ale on nic, ani słówkiem nie zdradził się w tej kwestyi, a ładne nazwisko, familia bogata...

— Ale! czy Brzeszczota wziąć na polowanie, czy nie wypada?

— E, cóż znowu, obejdzie się bez niego, może zostać z chłopcami. Wiesz co Feliksie trzeba go nawet będzie jakoś grzecznie usunąć, pozbyć go się z domu, to jest człowiek nie zupełnie odpowiedni dla naszych dzieci.

— Przeszło już dwa lata je uczy, coś przecież umieją.

— Tak, ale patrzy, zdaje mi, się na Henię, a przytem w chłopców wszczepia jakieś demokratyczne zasady!... to ich ogromnie zmanieruje.

— Mamo, ojczulku — zawołała w progu Henryka — herbata.

— Idziemy, idziemy...

Za chwilę w około stołu siedzieli już wszyscy, wiodąc ogólną, ożywioną rozmowę, mieszającą się z brzękiem szklanek i talerzy. (C. d. n.).

JAN KASPROWICZ.

IL AMORE DESPERATO.

Z zapisków przyjaciela.

W objęciach twoich ramion, toczonych z marmuru;
Na piersi, stokroć bielszej ponad alabastry;
Objąwszy biodra twoje, kręglejsze nad linie,
Któremi zataczają skrzące gwiazd szeregi
Elipsoidalne biegi
W wieczornej godzinie,
Wśród chóru
Harmonij sfer —
Z źrenicą, zapatrzoną w twoich źrenic astry,
Z ustami, chłonącemi z twoich ust kielicha
Rozkoszny żer,
Nakształt tej pszczoły,
Co z kwiatów czerpie woniejące miody —
Niechaj się cały rozpłynę w wszechbycie!...
Niechaj to życie,
Co dziś się w jednej skupiło postaci
Bolu i nędzy,
Zatraci
Dotychczasowe znamiona!
Niech się przemienię u twojego łona,
O ty przecicha
I uśmiechnięta czarodziejko boża,
W tysiączne kształty: w powietrze,
W ogień i krople błękitnawej wody;
Niech wniknę w wszystkie żywioły,
W wszystkie jestestwa, co w wszechżycia przędzy
Różnobarwnemi są nićmi; w owady,
Co się z ziemnego wychylają łoża,
By w jednej chwili zagubić swe ślady;
W poziomą trawkę, w ślepy kwiat paproci,
W jaskier, co łąki nam złoci!...
A jeśli znajdę, o śmierci, przed tobą
Łaskę, to w lilie zmień mnie, nad śnieg bledsze,
W róże, czerwieńsze od krwi.
Tylko po końcu tych smutnych dni,
Okrytych czarną żałobą,
Niechaj najmniejszą nie wniknę kropelką
W byt ludzki, o złamanych jestestw zbawicielko!...

* * *

Przeklinam świat, bo w jego przepaścistej cieni,
Gdzie patrzaj! szatan Pychy z Rozpustą się miota
Wśród kazirodnych uścisków,
Rodzą się płody, co z błysków
Słonecznych nic w swej duszy nie mają bezbożnej...
Przeklinam świat, tak trwożny,
Gdy posmutniała zbliża się doń Cnota,
A taką czelność mający w swem oku,
Takie promienie odwagi,
Gdy doń w pospiesznym kroku
Biegnie Występek nagi;
Kiedy go chwyta w swój szalony taniec

I w rozburzonej piersi skrę rozżega,
Co nie miłością jest, lecz tchem lubieżnem,
Warzącem wszystkie uczucia,
Gdy wystrzelają nad kraniec
Zepsucia,
I hamującem tę myśl, gdy wybiega
Z poziomych gnieździsk i ginie
W złotej krainie —
W niebios przestworzu bezbrzeżnem...
Przeklinam go ostatnią łzą i krwi kropelką
Ostatnią, zrozpaczonych bytów zbawicielko!...

* * *

Kochałem dawniej ludzi
I żyć pragnąłem zawsze
Dla wszystkich nieszczęśliwych, którym rany, krwawsze
Od Chrystusowej boleści,
Zadają życia oszczepy,
Gwoździe i ciernie...
Dziś się nienawiść budzi.
Jej syk mi w uszy szeleści,
Ażebym, głuchy i ślepy
Na nędzę świata,
Deptał niewiernie
Własnego brata...
O tak! ta miłość przeczysta, co chciała
Przygarnąć wszystkich do serca, dziś na nic!...
Na nic! w nienawiść zmieniła się cała,
Ach! w tę nienawiść bez granic...
O, żyć już dłużej nie mogę,
Pokaż mi swoją drogę,
Zanim szlachetność wszelką
Utracę w dziwnym tym boju!..
O ty spokoju!
Ciszy niebieska! szczęśliwości zdroju!
O śmierci, padających jestestw zbawicielko...

* * *

Pokaż mi drogę i zamknij te wargi,
Aby z nich płonne się sączyły skargi,
Abym nie rzucał na grób ten przekleństwa
Gdzie śpi przyczyna mojego męczeństwa,
Mego upadku i mojej niemocy...
Po co żyć jeszcze, gdy duch jest sierocy?
A zawsze będzie osamotnion w tłumie
Duchów, swych braci, kto kochać nie umie,
Gdyż tylko „miłość zamienia step świata
W ogród rozkoszny i ludny", gdzie brata
Człek widzi w bracie i przy jego boku
Żar czuje w piersi i pogodę w oku!...
A już nieszczęście nad sercem się słania,
Co utraciło zdolność miłowania...
A kto w nienawiść zmienił ogień święty,
Będzie po trzykroć przeklęty! przeklęty...
Ona jest winna, że mnie ręka karze,
Jakiej najwięksi nie czuli zbrodniarze;
Że zapomniałem w tem życia pustkowiu
O serca zdrowiu i o duszy zdrowiu;
Że, utraciwszy świadomość swej woli,
Stałem się nakształt wyciągniętej roli.
Gdzie już miłości kwiat dziś nie wystrzela,
A tylko pną się jadowite ziela,
Co śród korzeni, swych łodyk i liści
Chowają soki zgubnej nienawiści...

IV.

O jak łagodny żar
Spływał z jesiennych nieb
Na ziemię, rodzicielkę owoców soczystych!
Jak ten lazurów sklep,
Co się o brzeg jej wsparł,
Tysiącem blasków drżał
Przepromienistych,
A wonnych, jak żywica, którą w sosny wlał
W rosach kroplistych
Skąpany anioł Przyrody...

* * *

Szumiał jaworów liść,
Chór ptaszy w krzewach grał,
Schylonych nad obliczem rozszeptanej wody;
Ku słońcu uśmiech słał,
W czerwoną zbrojny kiść,
Rozkwitłych aster wian!
Pełen pogody,
Jakby nie miały zadać mu już ran
Zimowe lody,
Wszystek świat tonął w rozkoszy...

* * *

A przecież blask ten i ta woń rzeźwiąca
Były ostatniem świadectwem żywota...
Za chwilę klombów smaragdowa zieleń
Miała się zmienić w czerwieniastą żółtość,
Nakształt rumieńców, płonących na twarzy
Pergaminowej suchotniczych bytów...
Ale jak człowiek, dotknięty zaniku
Straszną chorobą, nie przeczuwa końca,
Tak i świat wówczas, zdało się, nie wiedział,
Że duch zniszczenia, przyodziany w śnieżną
Płachtę zimową, zbliży się za chwilę
Od stron północnych i mroźny swój oddech,
W lód ścinający niebieskie jeziora,
Srebrzyste rzeki i stawy, ujęte
W ramiona grobli, usypanych z piasku
Glinkowatego, rozleje na drzewa,
Na traw kobierce i kwiatów korony...
I jam nie wiedział, że szczęście, którego
Pierwsze promienie zajaśniały dla mnie
W oczach błękitnych, gdyśmy razem, pomnisz,
Na owej ławce usiedli, w jaworów
Ciemnej alei — ach! jam nie przeczuł,
Że miało zgasnąć tak prędko, że miało
Stać się ofiarą bezbronną nieczystych
Sił, czyhających na wesele człeka...
Miałem ze sobą wtedy księgę świętą,
Hymn Salomona, w którym już niejeden
Dzień kąpaliśmy wyobraźnię naszą...
I wśród uroków jesiennej przyrody
Jąłem ponownie czytać i ustępy
Psalmu miłości, którą, jak powiada
Scholastyk boży, pała Jezus Chrystus
Ku kościołowi, swej oblubienicy...
I ty mi rzekłaś: O słuchaj! na zawsze
Zostanę twoją i służyć ci będę
Jako Sulamit swojemu wybrańcy.
Z duszą otwartą, jak ów kielich lilii,
Chodziłam dotąd po ziemskim ogrodzie,
Szukając rosy ożywczej, lecz nigdzie
Niepokalanej nie dostrzegłam kropli.

(Dok. n.)

Sprostowanie. W druku niniejszego poematu (w nr. 12) zaszły następujące omyłki: wiersz piąty u góry drugiej szpalty („Gdzie zamiast iść) powinien rozpoczynać tę szpaltę. W 9 wierszu od dołu (2giej szpalty) powinno być czarem, a nie czasem, wreszcie w wierszu 8 od dołu powinno być „nieśmiertelnym", zamiast śmiertelnym.

GUY DE MAUPASSANT.

NA WSI

NOWELA.

Dwie chaty stały obok siebie, u stóp pagórka, nie opodal miasteczka kąpielowego. Ich właściciele uprawiali w pocie czoła ziemię nieurodzajną, żeby wychować swe dzieci. Każde stadło miało ich po czworo. Przed sąsiadującemi z sobą drzwiami cała gromada malców roiła się hałaśliwie od rana do nocy. Dwoje najstarszych miało po 6 lat, dwoje najmłodszych około 15 miesięcy. Wesela, a potem narodziny przypadały prawie jednocześnie w jednem i drugiem domostwie.

Obie matki z trudnością rozróżniały swych potomków pośród tej dzieciarni, a ojcowie nie rozpoznawali ich wcale.

Osiem imion wirowało im w głowie i mieszało się wciąż z sobą. Chcąc zawołać które z dzieci, wymawiali zwykle trzy imiona, zanim natrafili na właściwe.

W pierwszej z tych chat, idąc od stacyi wód w Rolleoprt, mieszkali małżonkowie Tuvache, którzy mieli trzy córki i jednego syna; w drugiej Vallin'owie, mający jedną dziewczynę i trzech chłopców.

Wszystko to żywiło się nędznie zupą, kartoflami i świeżem powietrzem. O 7-mej rano, o 12-tej w południe i 6-tej wieczorem, obie gospodynie zwoływały swój drobiazg, żeby go nakarmić, jak pastuchy spędzają swe stado gęsi. Dzieci siadały szeregiem, podług starszeństwa, przy stole wypolerowanym 50-letniem używaniem. Ostatni malec z trudnością dosięgał go buzią. Stawiano przed niemi miskę pełną chleba rozmiękłego w wodzie, w której ugotowały się kartofle z połówką głowy kapusty i trzema cebulami. Cały szereg najadał się do syta. Najmniejszemu bębnowi matka sama dawała jeść. W niedzielę pojawiał się kawałek mięsa ku ogólnej uciesze i ojciec zazwyczaj siedział dłużej przy stole, powtarzając: „chciałbym to mieć codzień".

Pewnego popołudnia w miesiącu sierpniu lekki powozik zatrzymał się nagle przed dwiema chatami, i młoda kobieta, która powoziła sama, zawołała do siedzącego obok niej mężczyzny:

— Spójrzno, Henryku, na tę gromadę dzieci! Jakże one ładnie wyglądają, bawiąc się w tym pyle.

Mężczyzna nie odpowiedział, przyzwyczajony będąc do jej zachwytów, które zdradzały boleść i były dlań niejako wyrzutem.

Kobieta rzekła znowu:

— Muszę je uściskać! Ach, jakżebym chciała mieć jedno — o, tamto.... najmniejsze.

I wyskoczywszy z wózka, pobiegła do dzieci, porwała jedno z dwojga najmłodszych, synka Tuvache'ów, uniosła je w górę, i namiętnie całowała brudną twarzyczkę, płowe kędzierzawe włoski, powalane ziemią, i rączęta, któremi malec trzepotał, żeby się pozbyć natrętnych pieszczot.

Potem wskoczyła na wózek i szybko odjechała. Ale w następnym tygodniu przybyła znowu, siadła na ziemi, wzięła małego na kolana, nakarmiła go ciastkami, wszystkim innym dzieciom dała cukierków i swawoliła z niemi, jakby rówieśnica. a mąż tymczasem czekał cierpliwie w swym lekkim powoziku.

Jeszcze raz przyjechała, zapoznała się z rodzicami, i odtąd pojawiała się codzień, przywożąc w kieszeniach pełno łakoci i monety drobnej.

Nazywała się pani Henrykowa d'Hubières.

Gdy przybyli oboje pewnego ranka, mąż wysiadł wraz z nią. Nie zatrzymując się przy dzieciach, które znały ją już dobrze, weszła do chaty.

Tuvache'owie łupali drzewo do zupy; wyprostowali się bardzo zdziwieni, podali stołki i czekali.

Młoda pani przerywanym głosem, drżąc cała, przemówiła:

— Przychodzę do was, moi dobrzy ludzie, bo chciałabym... chciałabym zabrać z sobą waszego... waszego chłopczyka...

Wieśniacy stali zdumieni. bezmyślni, i nie odpowiadali.

Odetchnęła głęboko i rzekła znowu:

— My nie mamy dzieci... jesteśmy osamotnieni. Wzięlibyśmy go w opiekę... Zgadzacie się?

Chłopka zaczynała rozumieć. Zapytała:

— Państwo chcecie zabrać nam Karolka? O, nie damy go, z pewnością!

Wtedy p. d'Hubières rzekł:

— Moja żona źle się wyraziła. Chcemy go przybrać za swego, ale powróci do was, zobaczycie go. Jeśli wyrośnie na porządnego człowieka, jak mam nadzieję, to odziedziczy po nas majątek. Gdybyśmy przypadkiem mieli dzieci, należałby do równego działu z niemi. Ale jeżelibyśmy nie mieli z niego pociechy, to po dojściu do pełnoletności, dostałby 20 tysięcy franków, która ta suma zostanie niezwłocznie złożoną na jego imię u notaryusza. Pomyśleliśmy i o was: będziecie pobierali do samej śmierci 100 franków miesięcznie. Czyście mię zrozumieli dobrze?

Chłopka zerwała się, jak szalona.

— Chcecie, żebym wam sprzedała Karolka? Nic z tego nie będzie! Kto to żąda takich rzeczy od matki! Co nie, to nie! To byłoby ohydne!

Gospodarz nie mówił nic, stał poważny i zadumany; tylko wciąż głową potakiwał żonie.

Pani d'Hubières, zrozpaczona, rozpłakała się i zwróciwszy się do męża, wśród łkań, głosem dziecka, którego zwykłe życzenia są zawsze spełniane, wybąkała:

— Oni nie chcą, Henryku, oni nie chcą.

Próbowali raz jeszcze.

— Ależ moi kochani, pomyślcie o przyszłości dziecka swego, o jego szczęściu, o...

Rozjątrzona chłopka przerwała:

— Wiemy, rozumiemy wszystko... nie ma się nad czem namyślać... Precz ztąd... nie pokazujcie mi się więcej na oczy! Trzeba nie mieć wstydu, żeby chcieć zabrać komuś dziecko.

Wychodząc z chaty, pani d'Hubières przypomniała sobie, że są dwa maleństwa, zapytała więc przez łzy, z uporem kobiety samowolnej i rozpieszczonej, która nie znosi czekania:

— Ale ten drugi malec nie wasz?

Ojciec Tuvache odpowiedział:

— Nie... sąsiadów. Możecie państwo tam pójść, jeśli chcecie.

I wszedł do chaty, w której się rozlegał gniewny głos jego żony.

Vallin'owie siedzieli przy stole, jedząc z wolna kromki chleba, które smarowali cieniuchno masłem, zatkniętem na końcu noża, co leżał na talerzu pomiędzy nimi.

Pan d'Hubières zaczął znowu przekładać swój projekt, ale ostrożniej, z wybiegami...

Wieśniacy potrząsali głowami na znak odmowy, lecz dowiedziawszy się, że mieliby 100 fr. miesięcznie, spojrzeli jedno na drugie, naradzając się oczami, bardzo zachwiani.

Długo milczeli udręczeni, wahając się. Nakoniec kobieta zapytała!

— Cóż ty powiadasz na to?

A mąż odrzekł z powagą:

— Powiadam, że to rzecz nie do pogardzenia.

Wtedy pani d'Hubières, drżąc z niepokoju, zaczęła im przekładać, jaka to przyszłość czeka ich małego, jaki on będzie szczęśliwy, jak dużo pieniędzy będzie mógł dawać im później...

Chłop zapytał:

— Czy te 20 tysięcy franków będą przyrzeczone przed notaryuszem?

Pan d'Hubières odrzekł:

— Rozumie się... Zaraz jutro...

Gospodyni zamyśliła się i rzekła po niejakiej chwili:

— Sto franków miesięcznie za to, że nam państwo weźmiecie małego, to za mało... taki dzieciak chodziłby do roboty za kilka lat. Dajcie 120 fr.

Pani d'Hubières, która nie mogła ustać w miejscu z niecierpliwości, zgodziła się odrazu i chcąc natychmiast porwać dziecko, dała jeszcze 100 fr. rodzicom, podczas kiedy mąż jej spisywał umowę. Mer i jeden z sąsiadów, których zaraz wezwano, chętnie służyli za świadków.

Młoda kobieta rozradowana czemprędzej wybiegła z wrzeszczącym malcem, tak, jak się wybiega ze sklepu z cackiem upragnionem.

Tuvache'owie, stojący w progu swej chaty, przyglądali

się, gdy chłopak odjeżdżał; milczący, surowi, żałując może swej odmowy.

O Jasiu Vallin nie było nic słychać. Rodzice chodzili co miesiąc do notaryusza po swoje 120 fr. i gniewali się z sąsiadami, bo matka Tuvache zamęczała ich obelgami, powtarzając wciąż ze swego progu, że tylko wyrodek sprzedaje własne dziecko; że trzeba na to być bezecnym, plugawym, zepsutym do szpiku kości...

Niestety, żeby im dokuczyć, brała na ręce swego Karolka, i jak gdyby ją rozumiał, ktrzyczała:

— Ja nie sprzedałam ciebie, mój maluśki; nie, nie sprzedałam... Ja nie sprzedaję swoich dzieci. Nie jestem bogata, ale nie sprzedaję swoich dzieci.

I długie, długie lata ponawiało się to codziennie; grubijańskie przycinki rozlegały się na progu, żeby je posłyszano w chacie sąsiedniej. W końcu przyszło do tego, że matka Tuvache miała się za wyższą od całej okolicy, z powodu, że nie sprzedała Karolka. Ludzie, wspominając o niej, mieli zwyczaj mówić:

— Trzeba przyznać, że to była wielka pokusa... ale postąpiła, jak dobra matka...

Jedni drugim opowiadali o niej; a Karolek, który już miał blisko 18 lat, wzrosły w tem wyobrażeniu, co mu się wciąż obijało o uszy, uważał się także za wyższego od swych towarzyszy. dlatego, że go nie sprzedano.

Vallin'om wiodło się dobrze, dzięki pobieranej zapomodze i to właśnie podtrzymywało wściekłość Tuvache'ów, którzy nie wydobyli się z nędzy.

Ich najstarszy syn poszedł do wojka, drugi umarł, Karolek sam jeden więc pracował ze starym ojcem, żeby wyżywić matkę i dwie siostry młodsze.

Miał on już około 21 lat, kiedy pewnego ranka świetny ekwipaż stanął przed dwiema chatami. Młody mężczyzna, przy złotym łańcuszku od zegarka, wyskoczył z niego i pomógł wysiąść damie w podeszłym wieku, z siwemi włosami. Pani ta rzekła:

— Tam, moje dziecko, w tem drugiem domostwie.

I wszedł, jakby do własnego mieszkania, do lepianki Vallin'ów.

Stara matka prała sobie fartuchy, zniedołężniały ojciec drzemał przy kominie. Oboje podnieśli głowy, a młodzieniec rzekł:

— Jak się macie, ojcze; jak się macie, matko!

Zerwali się pomieszani. Chłopka ze wzruszenia upuściła mydło w wodę i bełkotała.

— Czy to ty, moje dziecko? Czy to ty, moje dziecko?

Wziął ją w ramiona i ściskał, powtarzając:

— Jak się macie, matko!

Stary, drżąc cały, swym zwykłym spokojnym głosem powiedział:

— Powróciłeś, Jasiu? — jak gdyby go widział przed miesiącem.

Gdy się poznali już nawzajem, rodzice wyszli z nim zaraz na wieś, żeby go pokazać. Zaprowadzili go do mera, do adjunkta, do plebana, do nauczyciela.

Karolek, stojąc w progu swej chaty, przyglądał mu się, gdy przechodził.

Przy wieczerzy rzekł on do starych:

— Musieliście być chyba obrani z rozumu, kiedyście pozwolili wziąć małego Vallin'ów.

Matka odpowiedziała z uporem:

— Nie chcieliśmy sprzedawać swego dziecka.

Ojciec nie mówił nic, a syn odezwał się znowu:

— Nie jestże to nieszczęście być tak poświęconym?

Wtedy ojciec Tuvache wyrzekł gniewnie:

— Może będziesz nam wyrzucał, żeśmy cię zatrzymali przy sobie?

Na to chłopak oprysklliwie:

— Tak, wyrzucam wam to, żeście byli niedołęgami. Tacy rodzice, jak wy, są nieszczęściem dla dzieci. Warci jesteście, żebym was porzucił.

Kobiecina płakała nad talerzem, i przełykając łyżki zupy, której wylewała połowę, utyskiwała:

— Mordujże się tu, żeby wychować dzieci!...

— Wolałbym wcale nie przychodzić na świat, aniżeli być tem, czem jestem. Kiedym dziś zobaczył tamtego, krew we mnie zawrzała. Powiedziałem sobie: Oto takim byłbym teraz.

Podniósł się.

— Słuchajcie, czuję, że lepiej zrobię, jeśli tu nie zostanę dłużej, bo wyrzucałbym wam to od rana do nocy i zamęczyłbym was; widzicie, ja wam tego nigdy nie wybaczę!

Starzy milczeli, zgnębieni, załzawieni.

— Nie, za ciężko byłoby żyć z tą myślą. Wolę poszukać gdzieindziej chleba.

Otworzył drzwi. Z sąsiedniej chaty doszły głosy. To Vallin'owie biesiadowali z odzyskanem dziecięciem.

Wtedy Karolek uderzył nogą o ziemię, i obracając się do rodziców, wykrzyknął:

— Ciemne chłopstwo!

Poczem znikł w pomroce nocnej.

MISCELANEA.

*** W sprawie uregulowania pisowni polskiej (patrz „Wolne myśli“) zabrali głos w pismach warszawskich pp.: Dr Karłowicz. Kryński i Wł. Korotyński. Poddają oni orzeczenia Akademii surowej krytyce; najostrzej wystąpił p. Karłowicz w „Prawdzie“, zarzucając uchwale Akademii absolutny brak naukowych podstaw.

*** Krakowska Rada miasta uchwaliła zaopiekować się osieroconemi przez śmierć ś. p. Dra Baranieckiego kursami dla kobiet.

*** Fachowe sprawozdanie o koncertach krak. Towarzystwa muzycznego z udziałem p. Myszugi odkładamy dla braku miejsca do przyszłego numeru „Myśli“, w którym jednocześnie poddamy krytyce dwa jubileuszowe koncerta Towarzystwa. Obchodzi ono w bieżącym miesiącu 25lecie swego istnienia, a więc ćwierćwiekową rocznicę płodnej w owoce pracy około umuzykalnienia naszego grodu. Przy tej sposobności składamy zasłużonemu dyrektorowi p. Barabaszowi serdeczne życzenia, ufni w to, że pod jego kierunkiem krakowskie Towarzystwo muzyczne i w przyszłości zaznaczać będzie dowody swej żywotności i rozwoju.

*** O wystawionej na scenie teatru krakowskiego sztuce Fuldy: „Raj utracony“ pisał w swoim czasie nasz korespondent lwowski. Ograniczyć się tedy musimy na wzmiance, że autor niemiecki porusza w swoim utworze najżywotniejszą dziś kwestyę: stosunku pracy do kapitału. Jest on rzecznikiem robotników, a więc żąda polepszenia ich bytu, bez względu na stosunki materyalne i stan interesów chlebodawcy. Akt drugi, w którym przyszły zięć fabrykanta (bar. Ottendorff) odmawia prośbie robotników podwyższenia płacy o 15% — czyni na widzu silne wrażenie. Fulda przeciwstawia Ottendorfowi, jednostce nędznej pod względem moralnym i intelektualnym — młodego technika Arndta, uosobienie szlachetnych, altruistycznych dążeń. Sama fabuła niewiele warta. W wykonaniu sztuki odznaczyli się tylko pp. Żelazowski i Sobiesław. Reszta artystów nie stanęła na wysokości zadania, a p. Winiarska grała niżej wszelkiej krytyki.

*** Na konkursie dramatycznym, ogłoszonym we Lwowie przez Wydział krajowy, pierwszą nagrodę w kwocie 500 złr. otrzymał p. Żelisław Roman Orsza (pseudonim) za sztukę pt.: „Kraj“, drugą 250 złr. A. Bełcikowski za dramat pt.: „U kolebki narodu“, zalecono zaś do grania sztukę ludową „Na wsi“ J. Piotrowskiego.

Mamy nadzieję, że sceny krajowe dołożą starań, aby nagrodzone utwory w najkrótszym czasie mogły być wystawione w Krakowie i we Lwowie.

*** † Aleksander Ładnowski, zasłużony aktor dramatyczny i autor przeszło 40 sztuk, zmarł w Krakowie.

*** † Paweł Stalmach, redaktor „Gwiazdki Cieszyńskiej" (założonej w r. 1854), niestrudzony bojownik sprawy narodowej na Szląsku austryackim, zmarł dziś w Cieszynie. Stratę śp. Stalmacha odczuwa nietylko Szląsk, gdzie zmarły zwalczał zapędy germanizatorskie, ale Polska cała. W 1873 wręczono Stalmachowi, w uznaniu jego 25-letniej działalności, wspaniałą księgę jubileuszową pt.: „Wisła", staraniem pp. Koziebrodzkiego i Żółtowskiego.

Nowy obraz Siemieradzkiego: „Apoteoza Kopernika" będzie wystawiony w Warszawie.

*** P. Bolesław Lutomski, zastanawiając się w „Ateneum" nad ciekawym ze wszech miar objawem pesymizmu literackiego w piśmiennictwie zachodu, wysnuwa słuszny wniosek, że w literaturze naszej pesymizm społeczny i filozoficzny, rozwinięty do ostatnich konsekwencyj, nie miał wybitnych przedstawicieli. Poezya rozpaczy, na ogólno-ludzkich osnuta motywach, w systematycznej walce z życiem i bytem. nie znalazła u nas apostoła. Pesymizm w naszej powieści jest ubogim. Ani Kraszewski, ani Orzeszkowa, ani Prus, ani żaden z głośniejszybh pisarzy nie byli zdecydowanymi wyznawcami filozofii pesymistycznej tej siły i tego kierunku, co n. p. Zola, Tołstoj albo Bourget. W literaturze dramatycznej jedynym świadomym przedstawicielem pesymizmu w teatrze polskim jest — Wł. Okoński (Świętochowski).

Pesymizm — kończy p. L. — zależnie od tego, jakiego jest myślowego i artystycznego wymiaru, łączy literaturę piękną z myślą cywilizacyjną i stawia ją na poziomie wymagań krytycznie rozwiniętej jednostki.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tajczeński.**